Nr. 2. Kraków, Czwartek 1 Grudnia 1898. Rocznik VII.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sławkowska l. 30, I piętro.

Wszelkie listy i przesyłki pieniężne adresować należy do Redakcyi lub Administracyi, **ul. Sławkowska l. 30.**

Rękopisów nie zwraca się. Korespondencyj anonimowych nie uwzględnia się. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

NAPRZÓD

Numer pojedynczy 7 centów.

Do nabycia w Krakowie w Agencyi dzienników Pl. Maryacki l. 2, we Lwowie w Biurze dzienników L. Plohna, ul. Karola Ludwika, i A. Olszewskiego, ulica Kilińskiego l. 2, w Tarnowie w biurze p. M. Rokacha.

Listy reklamacyjne nieopieczętowane nie podlegają opłacie pocztowej.

Czasopismo polityczne i społeczne. — Organ partyi socyalno-demokratycznej.

Prenumerata wynosi: W Krakowie: (bez odsyłki) rocznie 3·—, półrocznie 1·50, kwartalnie —·75, miesięcznie —·25. W Austryi: rocznie 3·60, półrocznie 1·80, kwartalnie —·90, miesięcznie —·30. W Niemczech: rocznie 7 marek. We Francyi: rocznie 10 franków.

Wychodzi co tydzień — w czwartek.

Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) 10 ct. — **Nadesłane** po 25 ct. od wiersza. Należytość uprasza się naprzód nadesłać przekazem pocztowym pod adresem Administracyi czasopisma.

PRZEGLĄD.

Debata nad oskarżeniem rządu z powodu zawieszenia stanu wyjątkowego przybrała rozmiary i znaczenie pierwszorzędnego wypadku w polityce krajowej. Odsłoniła ona, jak nieprzebytą jest przepaść między Kołem polskiem a opozycyą polską w parlamencie. Spory czesko-niemieckie, frazesy panslawistyczne nie zdołały zapełnić tej przepaści, mimo usilnych zabiegów polityków z Koła polskiego; dwudniowa debata miała przedewszystkiem ten dodatni skutek, że zjednoczyła galicyjską opozycyę przeciw zjednoczonej klice szlachty polskiej i „upaństwowionych“ Rusinów. Nawet wątpliwe elementa z opozycyi musiały siłą wypadków i pod grozą utraty wszelkiego zaufania u mas ludowych, przyłączyć się do pierwszego i ostatniego przykazania opozycyi galicyjskiej: Koło polskie jest wspólnym wrogiem, i praca opozycyi musi się rozpocząć od bezwzględnej, zaciętej walki ze szkodliwą dla kraju kliką stańczykowską.

Sama debata była jedną wielką porażką stańczyków, a ich obrońcy z urzędu: Byk, Karatnicki, Milewski, nie potrafili na cały ogrom zarzutów niczem odpowiedzieć, jak tylko tanimi fazesami lub oszczerstwami. Pan Byk w obronie szlachty polskiej: rzecz godna śmiechu. Starodawny sojusz między żydem a szlachcicem ożył na nowo. Mówią już nawet o honoraryum, które p. Byk ma dostać za swą obronę; ma zostać baronem. Mowę Karatnickiego, rządowego Rusina, jednego z tych kreatur, na które każdy uczciwy Rusin patrzy z pogardą, możemy pominąć milczeniem. Mowa Milewskiego trąci tonem prowincyonalnego adwokata i sporządzona jest wedle znanej recepty: parę lichych dowcipów, parę frazesów, parę cytatów z Tocquevilla lub Leky'ego, nie dających się przypiąć ni przyłatać do stosunków galicyjskich, i parę oszczerstw. Pan Milewski nazwał pańszczyznę eufemistycznie „stosunkiem służbowym bez możności wypowiedzenia,“ a prawo propinacyi uznał za nietykalny przywilej szlachty. Do takiego poziomu „inteligencyi“ zeszedł profesor krakowskiego uniwersytetu; poziom zaś moralny tego pana charakteryzuje bezwstydne oszczerstwo, że robota socyalistów jest taką samą, jak robota Murawiewa-Wieszatela. Oszczerstwo to padło w chwili, gdy robotnicy socyalistyczni w zaborze rosyjskim wydali odezwę, tchnącą gorącą lawą oburzenia, przeciw stawianiu pomnika katowi Litwy; w chwili, gdy w uroczystości odsłonięcia pomnika Murawiewa wzięli udział dwaj przedstawiciele szlachty polskiej, hr. Plater i Niemcewicz. Jest zaś rzeczą wiadomą, że na ten pomnik składała datki pieniężne — szlachta „polska“!...

Tow. Daszyński, w mowie, świetnej formą i treścią, odparł insynuacye obrońców Koła polskiego. Słowa jego, ze stali i spiżu, długo jeszcze będą tym panom szumieć w uszach.

Wniosek oskarżenia ministrów upadł w imiennem głosowaniu 189 głosami przeciw 96. Przeciw wnioskowi głosowali zwartym szeregiem młodoczesi. Wszelkie więc legendy, rozsiewane przez Danielaka i „Głos Narodu,“ jakoby młodoczesi byli przeciwni stanowi wyjatkowemu, okazały się fałszywemi. Danielak rozszerzał świadomie te fałszywe pogłoski, aby odrobić w ten sposób kilka bankietów w Pradze, na których go poili młodoczesi. Tępy ten i ograniczony człowiek głosi i teraz jeszcze „braterstwo“ z młodoczechami, chociaż się okazało, że na Śląsku zwalczają oni tak samo żywioł polski jak i liberali niemieccy, mimo, że w Wiedniu robią interesa na spółkę z Kołem polskiem.

Wniosek upadł w parlamencie, ale nie w kraju: przyjdzie w krótce czas, gdy szlachta galicyjska stanie przed sądem ludu, a wtedy skończy się jej panowanie. Wybory do Sejmu już są za drzwiami...

W świetle prasy galicyjskiej przybrała oczywiście dwudniowa debata o stosunkach galicyjskich wszelkie formy karykatury. Z wyjątkiem „Kuryera lwowskiego“ nie znalazła mowa Daszyńskiego łaski w całej prasie konserwatywnej i „demokratycznej“. Z początku przez kilka dni panowało ponure milczenie. Debata przeszła przeciętny horyzont dziennikarstwa galicyjskiego; ci panowie nie mogli się połapać. Z tem większą zaciekłością rzucili się później do wypaczenia i skoszlawienia mowy Daszyńskiego. „Czas“ umieścił głęboki i uczony artykuł o różnicy między politykiem a agitatorem i cisnął całej opozycyi polskiej w oczy zarzut, że jest grupą agitatorów ludowych, lecz nie polityków. Zarzut zaiste „ciężki“ — zrobiony zapewne dlatego, że opozycya nie weszła w układy z Kołem polskiem.

Znamiennem jest zachowanie się organów mieszczańskich: „Słowa polskiego“ i „Nowej Reformy.“ Walka z kliką szlachecką, doprowadzającą kraj do ruiny, leży chyba i w interesie mieszczaństwa. Mieszczaństwo nasze nie ma żadnej organizacyi politycznej, a znaczenie jego w kraju, skutkiem trzymania się poły szlacheckiej i przygniatającego wpływu tejże, jest tak małem, że w rachubach politycznych może być wprost opuszczone. Jeżeli nasi „demokraci“ nie mają odwagi na rozpoczęcie walki z zacofaną większością w Kole polskiem, jeżeli umieją co najwyżej sarkać po kątach — niechżeż przynajmniej nie rzucają kamieni pod nogi opozycyi polskiej, niech nie napadają w stanowczej chwili na nią z tyłu w zdradliwy sposób. Niechaj zachowają przynajmniej neutralność... Kto sobie przypomni, że „Słowo Polskie“ i „Nowa Reforma“ były przeciwne stanowi wyjątkowemu, i z pewną odwagą nawet krytykowały postępowanie rządu i Koła, a porówna z tem fakt, że demokraci w Kole polskiem głosowali przeciw wnioskowi Daszyńskiego, a nawet nie zabrali głosu w debacie ani razu — musi przyjść do przekonania, że nasze mieszczaństwo nie jest czynnikiem, na który opozycya galicyjska może liczyć nawet w takich razach, w których nie rozchodzi się o socyalizm lub inne „zakazane“ rzeczy, lecz o prawa obywatelskie całej połowy naszego kraju; nawet w takich razach, które powinny zjednoczyć wszystkie nie szlacheckie stronnictwa w Galicyi.

„Słowo Polskie“ zarzuca Daszyńskiemu „przesadę.“ Jeżeli się nazywa rzecz po imieniu, gwałt gwałtem, nadużycie nadużyciem, to demokraci nazywają to przesadą. Jeżeli w mowie tętni krew i temperament, jeżeli za rabunek praw politycznych żąda się oskarżenia, to jest to przesadą... W takich razach można i nie być „przyzwoitym“ w guście naszych demokratów... Dalej zarzuca „Słowo polskie“ Daszyńskiemu, że sfałszował historyę, wychwalając biurokracyę przedmarcową. Ależ Daszyński właśnie nazwał tę biurokracyę najnędzniejszą w świecie; twierdził tylko, że fałszywemu stosunkowi szlachty do ludu przypisać należy, że ta biurokracya potrafiła stanąć wobec ludu jako „dobroczyńca,“ który zniósł pańszczyznę. „Słowo Polskie“ nie powinno tak rzucać zarzutami fałszerstwa.

„Nowa Reforma“ zaś z iście talmudycznym zapałem czepiła się drobnostki, że szlachta a stańczycy to nie to samo. Jak gdyby Daszyński kiedykolwiek tak twierdził!

Jednem słowem: nie ma w kraju opozycyi mieszczańskiej i całą pracę opozycyi przeciw-szlacheckiej muszą objąć partye ludowe, a przedewszystkiem socyalistyczna. Rozprawi się ona z kliką, rządzacą krajem, i bez naszych „demokratów“.

W odpowiedzi na brutalne zapędy liberałów niemieckich z Bielska odbyli robotnicy tamtejsi, polscy i niemieccy, dnia 21 i 22 listopada dwa wielkie zgromadzenia ludowe, na których z całą stanowczością zaprotestowali przeciwko uchwale fabrykantów, zakazującej robotnikom polskim posyłania swych dzieci do polskiej szkoły w Białej. Towarzysze Ulrich, dr Gross i inni napiętnowali w dosadnych słowach ten akt brutalnego gwałtu wyzyskiwaczy, którzy nie pozwalają nawet polskich afiszy rozlepiać w Bielsku i każą je zdzierać przez policyantów. Mowcy wyrazili zdanie, że ludowi polskiemu potrzeba jak najwięcej szkół, a robotnicy niemieccy protestują tak samo jak i polscy przeciw podobnemu postępowaniu.

Wobec sporów narodowościowych, przybierających coraz wstrętniejsze formy, zachowanie się robotników niemieckich w Bielsku dowodzi, że idea międzynarodowej solidarności ożywia uświadomiony proletaryat wszystkich narodowości, a spory narodowościowe są tylko wygodną pokrywką dla stronnictw burżuazyjnych, zapomocą której chcą zasłonić swoje egoistyczne interesa klasowe.

„**Hromadzki Hołos**,“ organ rusko-ukraińskiej partyi radykalnej, redagowany przez p. Michała Pawlika, odpowiada na zarzuty, które podnieśliśmy swego czasu przeciw taktyce radykałów ruskich w ten sposób:

Socyalni demokraci lubią nas radykałów uczyć socyalizmu i wyrzucać pyszałkowato, że to i owo nie dzieje się u nas tak, jak uczy socyalny demokratyzm. W numerze 16 czyni „Naprzód“ nawet różnicę między członkami naszej partyi i osądza, że jedni z nich są dobrymi socyalistami, a drudzy ludowcami i w końcu, niby żartuje, niby zarzuca że uczniowie genialnego Marksa redagowali urzędową „Bukowynę“. Co temu winien Marks albo nasza partya, nie można wyrozumieć. A co do tego, że między naszymi członkami są ludowcy, to niech

---

DYM.

Nowela.

(Dokończenie).

Wszystko to odbywało się z niezmierną szybkością. Młody kotłowy chwilowo zastępowany tylko bywał w południe i spieszyć musiał. Zaledwie zjadł, żegnał się szerokim znakiem krzyża, całował matkę w zapracowaną wychudłą rękę, chwytał furażerkę, a gwizdnąwszy na pożegnanie kosowi, zbiegł w trzech susach z facyatki na dół. Wdowa stawała wtedy w pośrodku izdebki z zebraną ze stołu serwetą w ręku i słuchała grzmiącego tupotu nóg synowskich z trwożnym i błogim zarazem uśmiechem.

— Święty Antoni! — mówiła, kręcąc głową — z leceniem takiem. Nogi jeszcze połamie... schody porozbija...

I stała tak zasłuchana, dopóki nie huknęły na dole drzwi od sionki i nie przebrzmiało echo tej szalonej kanonady nóg młodych i silnych. Wtedy dopiero kończyła składać serwetę, zmywała statki, ogarniała ogień popiołem, a siadłszy u okna, łatała synowską odzież i bieliznę.

Jeśli to było lato, długo jeszcze, bardzo długo widzieć mogła dym, walący z fabrycznego komina. Drugi raz to się tak zapatrzyła w niego, że i robota wypadła jej z ręki...

Dziwne bo przybierał i kształty i barwy.

To jak żelazna gadzina wywijał się sam z własnych przegubów coraz dalej, coraz wyżej; to jak leciuchna zasłona w powietrzu wiał, siejąc przed siebie obłoczki różane; to jak z kadzielnicy prosto w górę szedł, wełniąc się miękko po krajach; to jak olbrzymi pióropusz pod słońce się palił, z komina, jak z hełmu, za wiatrem wiejąc; to się w jakieś postacie cudne wydłużał; w jakieś mary nieziemskie, jakieś widzenia...

Czasem go wiatr wydymał, jak żagle wielkiego statku; czasem rozrywał niby kłęby pakuł, czasem pędził jak tuman czarniawy. A zadżdżyło się na świecie, to chmurą ciężką nad kominem stał, i płatami po dachach się wieszał, i tłukł nad ziemią, nie wiedząc, kędy się dziać.

Gdy przyszła zima, zapalała wdowa lampkę u komina i robiła przy niej grube na sprzedaż pończochy.

Ale choć od okienka wiało srodze i szron aż do izby zalatywał przez spróchniałe ramy, podchodziła do niego coraz, żeby na fabrykę spojrzeć.

Gorzała ona wprost facyatki długim szeregiem oświetlonych okien, huczała wewnętrzną pracą płuc swoich olbrzymich, szczękała żelastwem, dźwięczała biciem młotów, zgrzytała zębami pił, syczała żądłami topionych metalów. Dym, który teraz na tle głębokiego granitu niebios walił z jej komina, płomienny był, ogniami ziejący, snopy iskier ciskał jak race.

Szerokie łuny od niego skroś nieba szły i het, precz, odbijały wielkie ciche zorze...

Patrzała na nie wdowa w zadumaniu.

Z zadumy tej wyrywało ją gwizdanie kosa, który rozbudzony światłem, bijącem z fabryki w okienko, zaczynał wycinać swoje kuranty. W izdebce robiło się weselej, ogień trzeszczał na kominku, a kos darł się aż do ogłuszenia. A kiedy na niebie księżyc w pełni stanął, całe ono widzenie ogniste topniało w blaskach miesięcznych.

Późnym wieczorem dopiero wracał syn, i od progu już znowu wołał:

— Mamo, jeść!...

A razem z tą młodą, silną postacią wstępowało w progi izdebki wesele, śmiech i swoboda. Z mniejszym już teraz pośpiechem posilał się chłopak, opowiadał przez chwilkę to i owo rozpytującej się go o ubiegły dzionek matce, poczem zaczynał szeroko ziewać, przeciągać się, kos nawet nie bawił go już w takiej chwili.

— Idź spać, synku, idź spać! — mówiła matka, głaszcząc go po głowie. — A jutro do dnia ci znów trzeba...

Pójdę mamo... — odpowiadał sennym głosem — zmordowałem się tak, że to ha!

— A pacierz synku zmów — przypominała jeszcze.

— Zmówię, mamo.

Całował jej rękę, klękał przed swoim tapczanem i schyliwszy głowę na złożone dłonie, odmawiał szybko, półgłosem Ojcze nasz i Zdrowaś, tu i ówdzie przerywając modlitwę potężnem ziewnięciem, poczem bił się hałaśliwie w piersi, żegnał z rozmachem i zdjąwszy pospiesznie odzież, rzucał się na twarde posłanie.

Natychmiast też prawie usypiał,

„Naprzód“ wybaczy, ale niech przeczyta nasz program. Socyalizmu w nim od parady niema; my radykali jesteśmy socyalistami, jak nam program nakazuje, ale niech „Naprzód“ daruje, że u niego socyalizmu nie będziemy się uczyli.

Pan Pawlik wykręca się sianem: myśmy mówili o taktyce radykałów, a on zachwala i rozpisuje się o programie. Do osądzenia danej partyi, nie wystarcza program na papierze, lecz i jej taktyka, organizacya, osoby. Organizacyi zaś nie mają radykali prawie żadnej. „Socyaliści,“ którzy odrzucają wniosek nazwania swej partyi socyalistyczną; socyaliści, którzy w czasie wyborów stawiają kandydata przeciw socyalistom, (Franko-Hudec), to doprawdy dziwoląg logiczny. A jeżeli taki Franko, uznany przywódca radykałów, oświadcza, że jest przeciwnikiem walki klas, tej „religii nienawiści“ — to gdzież podziewa się cały socyalizm? Co się zaś tyczy „uczniów Marksa,“ którzy redagowali „Bukowynę,“ to konstatujemy fakt, że dotychczas nie wykluczono ich z partyi.

Na zarzuty p. Pawlika z powodu konferencyi chłopskiej w Cieszynie, nie uczuwamy potrzeby odpowiadać. Zaznaczamy tylko, że radykali ruscy nie urządzili mimo szumnych uchwał w Galicyi wschodniej ani jednego strejku chłopskiego, podczas gdy w zachodniej było ich kilka.

Powaśnieni bracia. Wojna między Stojałowskim z jednej, a Szpondrem i Danielakiem z drugiej strony jest faktem dokonanym. Danielak i Szponder wydali pisemko pt. „Obrona Ludu,“ w którem wstydliwie i ostrożnie, by się nie narażać chłopom, wyrzucają Stojałowskiemu, że jest złym politykiem. „Raz starał się zbliżyć do stańczyków w Kole polskiem, to znowu do Niemców, następnie szedł z Czechami, potem przeciw Czechom“... Następnie zarzucają mu, że bronił swego probostwa w Kulikowie, a nie ludu, i dodają, że „ten nieszczęśliwy tysiąc złr. wzięty od rządu niby tytułem wynagrodzenia za marki“ zaszkodził bardzo Stojałowskiemu. Dalej zarzucają Stojałowskiemu że nie jest — o zgrozo — antysemitą. Pan Danielak chwali się, że przystąpił do Stoj. wtedy, gdy to „było przez wszystkie władze uważane za zbrodnię(!) i zdradę stanu(!!) i znaczyło tyle, co wydać siebie dobrowolnie na potępienie i nieustanne prześladowania.“ Jest to bezwstydnem łgarstwem, gdyż wiadomo, że p. Danielakowi ani włos z głowy nie spadł, mimo tych strasznych prześladowań. Cała ta „Obrona Ludu“ jest idealnie głupio zredagowaną. Uderza tylko jedno: adres redakcyi jest ten sam, co „Głosu Narodu.“ To wskazuje najlepiej, kto utrzymuje obu „znakomitych polityków“.

Ks. Stojałowski zaś występuje w artykule pt. „Znowu rozdział — zdrada“ w ostatnim „Wieńcu“ niezwykle ostro przeciw odszczepieńcom. Nazywa ich „szyzmatykami politycznymi.“ „Podczas gdy ks. Redaktor musiał pisać gazetkę, odbywać zgromadzenia, miewać mowy w parlamencie — dr. Danielak i ks. Szponder, którzy najwięcej zrobić mogli i powinni byli, ledwie na kilka zgromadzeń z wielkimi prośbami przybyli — a zresztą do niczego ręki nie przyłożyli.“ Podczas gdy inni posłowie opłacali wkładki klubowe, ci „dwaj szyzmatycy nie dawali nic, i jeździli dla swej przyjemności po świecie.“ „Posłów — kolegów, włościan, lekceważyli i dawali im przezwiska ubliżające.“ Danielaka nazywa „posłem oszustem ludu.“ „Nie mówili ani razu o krzywdach i potrzebach ludu.“ W końcu wzywa ich do złożenia mandatu, gdyż inaczej są ludźmi bez czci i wiary.“ Zgadzamy się w tem ze Stojałowskim zupełnie tak samo, jak ze znaczną częścią tego, co napisał Danielak. Wart Pac pałaca.

W tym samym numerze „Wieńca“ jest także wzmianka o Lewickim, który swego czasu „ks. Redaktora po rękach całował, na wierność przysięgał, a potem, gdy nie było interesu, to go opuścił. „Wieniec“ podaje, że Lewicki żądał za poradę prawną zapłaty i narachował sobie w jednym wypadku 30 złr.

Ładna kompania, ci panowie „chrześcijańsko-ludowi“.

Hr. Thun, specyalista w sprawach szupaśnictwa, dał na interpelacyę Koła polskiego i młodoczechów z powodu wydalania z Prus polskich robotników uspokajającą odpowiedź, że ci wydaleni są przeważnie robotnikami rolnymi, którzy po żniwach stali się „zbytecznymi“, a będąc bez środków do życia zeszli do grupy tych, którzy podpadają „policyjnemu postępowaniu, tak samo jak to się dzieje w naszem państwie“. Odpowiedź ta wskazuje, jak bardzo jest p. Thun owiany duchem socyalno-politycznym Zapewnienie, że dzieje się im tak samo, jak w Austryi, musi być bardzo uspokajającem dla biednych robotników, którzy po „żniwach stali się zbytecznymi“...

O antysemityzmie.

(Dokończenie).

Jak widzimy, antysemityzm nie dorósł naprawdę kapitalizmowi. Umie on tylko z cepem w ręku rzucić się na ten kapitał drobny, który widzi w ręku pejsatego żyda. Wobec większego kapitału, który na prawdę trzyma ludzkość w niewoli, jest antysemita wprost bezsilnym i ograniczonym wstecznikiem,

Tem śmielej rzuca się każdy antysemita na małego żydowskiego wyzyskiwacza, na kramarza, handełesa, faktora. Antysemita nie chce widzieć np., że żydowski robotnik, krawiec, blacharz, szklarz, mosiężnik, tapicer, cholewkarz i t. d. pracuje od świtu do nocy, że jest najgorzej płatnym, że źle mieszka i nędznie się odżywia, że jest w handlu jako pomocnik proletaryuszem najbardziej wyzyskiwanym. Na nich właśnie wywiera swoją złość za to, że kapitału rzeczywistego dosięgnąć nie może swoim krzykiem i swojem pobożnem zawracaniem oczu.

Jak widzimy, jest antysemityzm możliwym tylko wśród ludzi, dla których obcą jest budowa nowoczesnego społeczeństwa, opartego na wyzysku pracy przez kapitał. Jest on nadto objawem rozpaczy tych średnich stanów, które nie mogą już dojść do dawnego dobrobytu i niezależności, a nie zeszły jeszcze całkiem do rzędu proletaryatu.

Wszystkim naszym biednym rzemieślnikom, wszystkim drobnym kupcom, małym urzędnikom i wogóle tym ubogim ludziom, którzy mają wieczną nadzieję zbogacenia się i lękają się nazwy „robotnika,“ powtarza się codziennie: „żydzi was rujnują“ — „brońcie się od żydów.“ Bezwątpienia, że żydzi, jako reprezentanci kapitału, rujnują wiele egzystencyj. Nie ma wątpliwości, że lichwiarz żydowski rujnuje masę drobnych kupców i rzemieślników. Ale aby tego lichwiarza dosięgnąć, trzeba w niego bić jako w lichwiarza, a nie jako żyda. Są kraje, gdzie żydów wcale nie ma, a naród upada pod brzemieniem nędzy i ciemnoty. Hiszpania np. należy do najbardziej katolickich krajów na świecie. Biskupi i księża rządzą wszystkiem. Zakonów jest mnóstwo, wszystko pobożne aż do obłędu. A jednak prześliczny kraj ten upada na dno przepaści pod temi katolickiemi rządami. I właśnie Hiszpania wypędziła żydów co do jednego! Zupełnie to samo byłoby i u nas możebnem. Możemy wyrzucić żydów, a jednak nic się nie zmieni; na miejsce lichwiarzy z pejsami przyjdą lichwiarze, którzy co dnia będą mszy słuchali, a co tydzień szli do spowiedzi. Wówczas każde dziecko zrozumie, że zło leżało nie w pejsach, a — w lichwie.

Ale drobny uciśniony majsterek tego jeszcze nie zrozumiał do dziś dnia; nie widzi on, że cały ciężar kapitalizmu wali się na jego biedny warsztacik, że każda kolej go rujnuje tak samo, jak fabryka gdzieś daleko zbudowana, że cała ta cywilizacya, te banki, akcye, koleje, telegrafy, szkoły zawodowe, fabryki itd. to wszystko stokroć silniejsze niż on i jego dwaj chłopcy, którzy nie umieją dobrze czytać, ani dobrze robić, ani nie mają pieniędzy na dobry materyał. Pokazują mu żyda jako wroga i oto zaczyna go całą duszą nienawidzieć; byle tylko żydów napędzić, wywieszać, wymordować, a zacznie się katolicki raj na ziemi....

Niedarmo stary poseł dr. Kronawetter powiedział, że „antysemityzm jest socyalizmem głupców.“ Robotnik proletaryusz rozumie już dzisiaj, że należy zwalczać kapitalizm w jego całości, że należy wszelkiemi siłami dążyć do tego, aby praca była jedyną podstawą społeczeństwa, że tę pracę od wszelkiego wyzysku uwolnić należy. Ten robotnik jest dziś socyalistą. Antysemita czuje brzemię wyzysku na sobie, ale zamiast złączyć się z robotnikiem socyalistą, zwalcza żyda, głównie jako żyda, a nie jako reprezentanta kapitału. Zamiast też opanować społeczeństwo i rozwinąć je w kierunku naprzód, usiłuje antysemita cofnąć je do cechów, do bractw średniowiecznych, do owych małych związków, dawno już przez kapitał rozsadzonych. Antysemita nie ogarnia całego społeczeństwa, a ideały swoje formuje według pojęć dawnych kast i „stanów.“ Nie chce on uznać, że całe społeczeństwo przekształca się na modłę kapitalizmu, że drapieżne hyeny kapitalistyczne są w każdym narodzie, że cała literatura, cała kultura, całe życie publiczne i prywatne jego i jego braci kieruje się wedle potrzeb kapitalizmu. Jak zaczadzony powtarza wciąż: „Powiesić dziesięć tysięcy żydów, a będzie dobrze!“

A warto także się przyjrzeć, jak działa antysemityzm na naszą „moralność prywatną i publiczną. Tutaj występuje on przedewszystkiem jako reprezentant religii. Katolicyzm nigdy nie odznaczał się tolerancyą. Historya zna wojny religijne, wszczynane i prowadzone przez katolicyzm, wojny krwawe i zacięte. Od walk sekciarzy, od wojen krzyżowych ciągnie się ta krwawa smuga aż do katolickich Krzyżaków, broczących w krwi litewskiej. Ale w nowszych czasach odebrano kościołowi srogie narzędzie mordu: władzę świecką, i zdawało się, że religia katolicka będzie dla milionów religią miłości. Takby wedle zdania i pragnień rzeczywiście pobożnych katolików być powinno.

Tymczasem antysemityzm, owo odrodzenie się nowoczesnego kościoła katolickiego, odradza zarazem dawne krwawe instynkty fanatyzmu religijnego. Zamiast religii miłości, propaguje wprost ponurą religię nienawiści do wszystkiego co niekatolickie. W ten sposób oczywiście urodzonymi kierownikami antysemitów są fanatycy kościelni, którzyby najchętniej „na chwałę bożą“ palili żydów na stosie. W całem życiu politycznem rozbrzmiewa ów ton strasznej religijnej nienawiści, ton ohydny, który nie jest pobudką lepszej przyszłości, lecz echem dawnych wrzasków, które wydawał fanatyczny tłum prowadzący skazańca na stos ognisty. Fanatyzm i szowinizm narodowy zjednoczyły się, aby w gorączkę dziwną wprowadzać drobnego mieszczanina. Wszystko, co obce, jest złem i powinno uledz zagładzie. Gdyby naród polski chciał dobrowolnie wymazać swoje imię z pośród narodów Europy, nie mógłby obrać innej drogi. Cierpi na tem nietylko interes materyalny, ale i umysłowy i moralny. Jakaś dzicz, wietrząca wszędzie żyda, ugania się na polu publicznego życia naszego.

A podczas kiedy fanatycy kościelni dowodzą tej dziczy, adjutantami ich są najbardziej liche jednostki. I nic dziwnego. Człowiek, który niczego się nie uczył w życiu, chwyta się chętnie hasła tak łatwego jak np. „bij żydów!„

Zbankrutowany dziennikarz czuje, że dostanie abonentów, skoro zacznie psy wieszać na żydów. Dostanie nietylko abonentów, ale i protekcyę całego najwyższego kleru. A to jeszcze w Galicyi dużo znaczy. Polityk, który boi się wyborcom powiedzieć całej prawdy, wdziewa na siebie szatę antysemity. Łatwiej płynąć z prądem, niż przeciw. . Konserwatysta-szlachcic, ratujący swoją popularność, chętnie pozwala naigrawać się z żyda. Wyzyskiwacz katolicki, lękający się o swoją skórę, skwapliwie pokazuje ludowi wyzyskiwacza żydowskiego.

---

a w izdebce słychać było dawno jego równy, głęboki oddech, podczas kiedy matka długo jeszcze szeptała zdrowaśki przed poczerniałem, ze złocistego tła wychylającem się obliczem Panny Nájświętszej.

Nareszcie lampka gasła, kos przestawał się trzepotać po klatce, uciszało się wszystko, aby znów jutro o brzasku się zbudzić.

Z tem budzeniem była zawsze bieda. Wdowa sypiała tym snem starości krótkim, czujnym, jakby oszczędzającym godzin życia przed wielkiem zaśnięciem w mogile.

Ze snu tego budziła się po drugich kurach, zaraz, na długo przed pierwszą gwizdawką fabryczną, i zwlókłszy się z pościeli, dreptała po izdebce, szykując polewkę dla syna i szepcąc godzinki. W okienku stała wtedy wielka i cicha gwiazda zaranna, wprost na twarz uśpionego chłopca świecąca. Matka coraz to na twarz tę powiodła oczyma. Radaby już zbudziła jedynaka swego, ale głębokie uśpienie chłopca wstrzymało ją.

— Niech ta! — szeptała półgłosem. Niech ta jeszcze ździebluchno pośpi...

Dopiero kiedy się rozległ przeraźliwy świst puszczonej pary, wołała na chłopca:

— Marcyś! A!... Marcyś! Wstawaj, synku! gwiżdżą...

Chłopak odwrócił głowę do ściany.

To kos, mamo... — mówił wpółprzytomnie.

— Ale! — kos tam! We fabryce gwizdają, synku, nie kos!

Przeciągał się, nakrywał na głowę, mruczał, ale matka nie ustępowała. Nocny dyżur się kończył, kotłowy na swojem miejscu pierwszy stanąć musiał przed robotnikiem jeszcze. Powtarzało się to cały tydzień boży, niedzieli nie wyjmując nawet.

Ale jednego razu, kawał jeszcze do ranka było, chłopak się z krzykiem ze snu porwał sam i na pościeli siadł.

Matka już była przy nim.

— Co to? Co ci, synku, co? — pytała troskliwie.

Nie odpowiadał. Patrzył na nią szeroko otwartemi oczyma, usta miał drżące, czoło w zimnym pocie. Rozpięta na piersiach koszula podnosiła się od mocnych, głośnych prawie uderzeń serca.

Objęła go ramionami matka.

— Co ci to synku, co ci to? — pytała, tuląc chłopaka, jakby małe dziecko.

Długo uspokoić się nie mógł.

— Nic, mamo — przemówił nareszcie z widocznym wysiłkiem — nic... Tylko — śniło mi się... że... że piorun uderzył we mnie.

Wdowa ścierpła. Ale nie dała tego poznać po sobie synowi. Chciała przemówić, głos uwiązgł jej w piersi.

Chłopak usiadł na tapczanie sztywny, prosty, patrząc przed siebie wystraszonym wzrokiem.

— Piorun, mamo — mówił cichym, urywanym głosem — taki czerwony, straszny jak smok. Na piersi mi padł, mamo... taki straszny... czerwony...

Umilkł i dyszał głośno.

Wdowa opanowała się jakoś.

— Co tam, synku! — mówiła głaszcząc go po rozpalonym policzku. — Co tam!... Sen mara, Bóg wiara. Co tam, synku!

A gdy chłopcu głośno zaszczękały zęby, przysiadła przy nim, przycisnęła głowę jego do swych wyschłych piersi i tak go kołysała, jak kiedy niemowlęciem był.

Chłopak się ukoił, utulił wreszcie i na poduszkę opadł.

— Niech mama już idzie, — rzekł — niech mama idzie, położy się... Ja usnę...

Ale nie usnął. Leżał na wznak, z otwartemi szeroko oczyma, wpatrzony w gasnące na wschód nieba gwiazdy.

Spojrzała na niego raz i drugi.

— A czemu nie śpisz synku? — spytała.

— Nie mogę, mamo... — odpowiedział cicho, skarżącym się głosem.

Podeszła i siadła przy nim.

— Nic się nie trap, synku! — przemówiła. — Nic się nie trap! Albo to na to ten Pan Bóg miłosierny pioruny w niebie chowa, żeby zaś niemi wdowie niebogiej jedynego synaczka ubijać? Nie da tego Pan Jezus i ta Matka Przenajświętsza... A ja ci to powiem, że piorun wesele znamionuje, kiedy się kawalerowi, albo pannie śni. Ot co, widzisz, piorun znamionuje... Przecie sennik mam, to wiem.

Mówiła to z uśmiechem wesoło

Ale na tym właśnie punkcie rozpoczął antysemityzm grę najbardziej dla siebie samego niebezpieczną. Antysemici powiadają, że należy skonfiskować wszystkie majątki żydowskie. Ci sami ludzie, którzy codziennie krzyczą, że socyaliści chcą skonfiskować kapitał, że nie szanują prywatnej świętej własności, ci którzy z oburzeniem mówią, że socyaliści chcą się „dzielić“ cudzą własnością, ci sami antysemici z rozkoszą zabraliby żydom każdy grosz, domy, grunta, sklepy itd. Ale czyż ten prąd raz rozbudzony zatrzyma się w połowie drogi? Czy lud, który zrozumie, że wolno takiemi środkami zwalczać szkodliwy kapitał żydowski, zatrzyma się przed wyzyskiwaczem chrześcijańskim? Wątpimy o tem mocno.

Jezuici dzisiaj byliby szczęśliwymi, gdyby się im powiodło przygarnąć do siebie wielkie tłumy robocze. Ale z przerażeniem spostrzegą wkrótce, że te same tłumy pójdą nie tam, gdzie chcą ich „opiekunowie,“ lecz zaczną narzekać i na czysto katolicki wyzysk. Teraz jeszcze tego nie widać, bo robotnicy mają swoją własną organizacyę socyalistyczną, ale wkrótce nawet najciemniejsi zwolennicy antysemitów zaczną sami między sobą walkę. I podczas gdy część zostanie im wierną, przejdą rozumniejsi do szeregów socyalno-demokratycznej partyi. Pojedyncze przykłady jużeśmy widzieli i zobaczymy ich jeszcze więcej.

Społecznie więc i kulturnie przedstawia się antysemityzm jako ruch wsteczny, wywołany z jednej strony przez bankructwo drobnego handlu, przemysłu i drobnej posiadłości, z drugiej strony przez obudzoną nienawiść religijną do żydów.

Czy wśród żydów nie ma podobnej partyi? I owszem, antysemici katoliccy mają rodzonych swoich braci i wśród żydów. To wszystko, cośmy powiedzieli o ekonomicznym upadku kupca lub rzemieślnika katolickiego, tyczy się i żydów. „Odrodzenie“ nienawiści religijnej u katolików wywołało odrodzenie takiej samej nienawiści u żydów. Ciemnota i fanatyzm gospodarują w obu obozach. Ta sama dzicz rozpiera się w szeregach żydowskich „syonistów,“ ten sam sposób walki, ta sama głupota, to samo barbarzyństwo.

A jak robotnicy katoliccy ani myślą rozbijać głów ludziom za to, w co ci ludzie wierzą, do jakiego Boga się modlą, tak i proletaryat żydowski odpycha swoich „syonistów.“

Ani antysemici, ani „syoniści“ nie chcą zrozumieć, że kapitał jest międzynarodowy, że jednaki wyzysk jest wszędzie, gdzie on się rozwija, nie rozumieją, że tę międzynarodową hydrę może pokonać tylko międzynarodowy związek proletaryatu. Tem lepiej zrozumieli to socyalni demokraci.

I oto mamy przed sobą jedyną partyę, która potrafiła zjednoczyć ze sobą robotnika katolickiego i żydowskiego. Ta młoda partya załatwiła w swojem łonie jednę z najtrudniejszych „kwestyj,“ przełamała wieki rasowej i religijnej nienawiści, aby stworzyć kolumnę wojenną, walczącą z kapitalizmem zarówno żydowskim jak i katolickim. Czy hasło tej partyi o zbrataniu wszystkich uciśnionych, do jakiejkolwiek rasy czy religii należą, nie jest wyższem od żydowskiego lub chrześcijańskiego fanatyzmu? Czy nie jest to moralność przyszłości, czy to nie owa wielkia miłość, która może coś wielkiego stworzyć?

Kto chce fundamenty swojej przyszłości kłaść na trupach całego narodu obcego, ten nie zbuduje niczego. Ludzkość ma swoje wielkie prawa rozwoju, o których nie wiedzą antysemici i dlatego podobni są do dzikich, usiłujących krzykiem przeszkodzić zaćmieniu księżyca.

Sytuacya polityczna na Węgrzech.

Austrya i Węgry, to dwaj bracia syamscy, zrośnięci unią, czyli szeregiem zgodnych ustaw, normujących ich wzajemny stosunek do siebie, ze względu na całość monarchii austro-węgierskiej. Każdy z tych dwóch organizmów państwowych z osobna dla siebie się rozwija; wspólne mają tylko nerwy — politykę zagraniczną, krew wspólną — wspólny skarb i wspólną armię.

Co dziesięć lat ugoda wzajemna ulega rewizyi, przyczem głównie chodzi o to, kto kogo bardziej wyzyska; a że Węgier jest z natury krewki i bezwzględny, a rząd przedlitawski niedołężny, więc z reguły skrupia się na Austryi, która, jak obecnie, ponosi **70%** wspólnych wydatków.

Ciekawem tedy będzie przypatrzeć się teraz stosunkom wewnętrznym w królestwie madziarskiem, poznać sąsiada u niego w domu.

Prawie od dwudziestu pięciu lat jest tam u steru rządów nieprzerwanie jedna partya, partya liberalna. Powstała ona z połączenia rządowego stronnictwa Deàka z opozycyą, stojącą pod wodzą Tiszy, która zrzekłszy się w większej części swego radykalnego programu miała podtrzymać liczebnie silne lecz zdyskredytowane stronnictwo Deáka, które kraj naraziło na finansową ruinę. Przez piętnaście lat był Tisza prezydentem ministrow, a jedyną jego troską, jak i jego następców Szaparego, Wekerlego i Banffy'ego, było zwalczenie nadzwyczaj energicznej opozycyi jaka pod wodzą hr. Apponyiego, złożona ze wszystkich niezadowolonych żywiołów w królestwie, przyprawiła rząd o niejedną przykrą godzinę. Wzięto się na sposób. Stronnictwo liberalne przyjmowało kolejno za swoje programowe hasła tej opozycyi, a więc: zmianę municypalnej administracyi na państwową, zmadyaryzowanie szkół wojskowych, reformę kościelno-polityczną, i przeprowadzając je, osłabiło znaczenie partyi Appony'ego, która obecnie drży przed każdemi wyborami, a stojąc tylko powagą i olbrzymiem znaczeniem swego przywódcy, liczebnie zaś słaba, zmuszona jest zawierać kompromisy z programowo jej przeciwną najskrajniejszą lewicą, która żąda zupełnego politycznego i ekonomicznego oddzielenia od Austryi oraz z klerykalną partyą ludową.

Osłabiwszy w ten sposób opozycyę, rozpanoszyło się stronnictwo liberalne w kraju i ani jedne wybory nie przejdą bez gwałtów i ucisku ze strony liberalnego rządu.

Nadużywa on powagi sędziowskiej, madyaryzuje przemocą kraje słowiańskie, gnębi socyalnych demokratów, a z jedną tylko partyą kokietuje — z partyą Apponyi'ego. Tymczasem ta partya sama chce się dorwać rządów i dlatego stara się zdyskredytować obecny rząd i przeszkodzić uchwaleniu prowizoryum budżetowego i samego budżetu, oraz ustawy o rekrutach i walczy obstrukcyą przeciw „ugodzie“ w drodze parlamentarnej. Chce ona zmusić rząd do wydania prowizoryum ugodowego drogą rozporządzeń na podstawie pozaparlamentarnego votum większości, aby następnie ogłosić ten akt (Węgry nie mają austryackiego § 14) jako złamanie konstytucyi i zwalić rząd obecny.

Gdyby koniec roku i prowizoryum budżetowego nie był tak bliskim, możeby rząd poczekał, aż się obstrukcya znuży i wyczerpie, ale wobec obecnego stanu rzeczy musi on przedsięwziąć coś stanowczego. A więc albo starać się na gwałt o fuzyę czyli połączenie się stronnictwa liberalnego z partyą Aponyi'ego w jedną grupę, albo zrekonstruować obecny gabinet, w którym zasiadają ludzie znienawidzeni przez lud i niezdolni już dzisiaj zażegnać burzy.

Nie należy się jednak łudzić, jakoby opozycya w sejmie węgierskim była o wiele lepszą od liberałów. Gdy idzie o zwalczenie ruchu robotniczego, znikają różnice między liberałami i ich przeciwnikami. Nawet wtedy, gdy rząd węgierski mordował chłopów strejkujących, nie znaleźli ci opozycyoniści słów protestu.

Spekulacye Banku austro-węgierskiego.

Rada generalna banku austro-węgierskiego uchwaliła dn. 14 października b. r. podniesienie dotychczasowej stopy procentowej z 4% na 4½, a już 25 listopada b. r., a więc w niespełna 6 tygodni później, podniosła znowu stopę procentową z 4½ % na 5%.

Kto zna stosunki kredytowe w Galicyi, ten wie, że znaczna część większych i mniejszych banków publicznych i prywatnych w Galicyi nie posiada ani jednej setnej części kapitału, którym operuje, że cała, na miliony licząca się masa pieniędzy, przepływająca przez ręce tych banków, jest własnością banku austro-węgierskiego, który przez swoje filie, w każdem większem mieście istniejące, wypożycza tym mniejszym bankom i wekslarzom kapitał na 4, 4½ a obecnie na 5%, — zaś banki i wekslarze wypożyczają owe pieniądze dalej potrzebującym na 6, 7, 8 i więcej procent i z różnicy tej w procentach ciągną swój zysk.

Jasnem więc jest, że gdy bank austro-węgierski, jako najsilniejsza instytucya finansowa w państwie, pożyczać będzie mniejszym bankom kapitał na wyższy procent, to i te banki i ci wekslarze nie ujmą sobie zarobku, lecz uczynią droższym kredyt swoim dłużnikom, a więc kupcom, przemysłowcom i t. d., ci zaś podrożą towar swoim odbiorcom, (cały handel i cały przemysł galicyjski polega w największej części na kredycie), i w ten sposób ludzie najbiedniejsi, robotnicy, proletaryusze, — bo oni tworzą najszerszą warstwę konsumentów, — drobni kupcy, urzędnicy i cała ta klasa, na której barkach opierają się już i tak najniesłuszniejsze t. zw. pośrednie podatki, zapłaci i teraz potężnemu bankowi, którego majątek liczy się na miliardy, ten powiększy procent od niewypożyczonego przez nich kapitału, który to procent, choćby tylko istniał przez kilka tygodni, przyniesie bankowi austro-węgierskiemu, przy jego olbrzymim obrocie, nowe liczne miliony.

Słusznem jest żądanie, by c. k. wyłącznie uprzywilejowany bank austro-węgierski, — bank stojący w najbliższym stosunku do austro-węgierskiego państwa, — liczył się nietylko z interesami swych akcyonaryuszy, lecz także z interesem całej ludności państwa.

Jeżeli więc, jak w obecnym wypadku, podwyższenie stopy procentowej przez tenże bank, podwyższenie, mogące mieć najgorsze skutki, bo podrożenie środków żywności i innych potrzeb dla szerokich warstw ludności, wywołane zostało nie wojną, ani żadną klęską finansową państwa, ani banku samego, lecz jedynie bardzo wątpliwej wartości spekulacyą na korzyść kapitalizmu, to eksperyment taki na skórze milionów biedaków można śmiało nazwać zbrodnią, i to bezwstydną zbrodnią.

Że nie było istotnej potrzeby podniesienia stopy procentowej, to powiedział wyraźnie sam referent generalnego banku, p. Mecenseffy. Zaznaczył on wyraźnie, że kurs wekslowy dla banku jest stale korzystnym, a posiadany przez bank zapas złota (500 milionów złr.) jest zupełnie zadowalniający.

A mimo to przyjęto na radzie generalnej wniosek podwyższenia stopy procentowej jednomyślnie i bez dyskusyi. Najważniejszym argumentem tych panów było to, że i niemiecki bank państwowy podniósł stopę procentową. Dla równowagi więc na giełdzie, równoważy się gnębienie klas ekonomicznie słabych! Czemuż dla uzyskania takiej równowagi nie zniżył bank niemiecki swojej stopy procentowej? A dalej, że wielcy fabrykanci, eksportujący swój towar za granicę, nie uczują zbyt silnie tej zwyżki stopy procentowej, ponieważ odpada im obecnie, skutkiem bogatego pokrycia w złocie papierów bankowych, potrzeba odrębnego pokrycia ich zagranicznego kredytu, a więc i kosztów z tem połączonych, — również nie może dostatecznie tłómaczyć podniesienia stopy procentowej przez bank austro-węgierski na szkodę milionów nie-fabrykantów.

Cóż na to panowie posłowie z Izb handlowo-przemysłowych? Podstawę banku tworzy jedna z ustaw, wchodzących w skład ugody austro-węgierskiej, — nadarza się Wam sposobność ukrócenia tego rodzaju wybryków które przedewszystkiem odbiją się na najuboższej ludnosci.

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

Kraków. Dnia 26 listopada odbyło się w stow. „Brüderlichkeit“ poufne zebranie, na które przybyło blisko 200 osób. Przewodniczył tow. Gronner, pierwszy przemówił tow. Czaki na temat: syonizm i socyalizm. Mowca omówił sytuacyę polityczną po zniesieniu stanu wyjątkowego, następnie zaś oświetlił bliżej robotę syonistów, którzy z utopijnych mrzonek zeszli wreszcie na rzeczywisty grunt i chcą koniecznie odciągnąć robotników żydowskich od organizacyi socyalistycznych. Na razie skończyło się na dobrych chęciach, a dziwoląg „syonistyczni robotnicy“ istnieje tylko na szpaltach „Przyszłości“; musimy jednak z góry powiedzieć tym panom; by nie mieszali się w nieswoje rzeczy. Ci, którzy śmią zaciemniać narodowemi frazesami walkę klasową w łonie społeczeństwa żydowskiego właśnie w chwili, gdy tkacze kołomyjscy toczą zaciętą walkę z żydowskimi wyzyskiwaczami, nie mają nawet prawa przystępować do robotników żydowskich. Tow. Serkowski wezwał zebranych do zapisywania się do stowarzyszeń robotniczych, gdyż tylko silna organizacya zawodowa może polepszyć położenie proletaryatu żydowskiego. Zebrani przyjęli wywody mowców z zapałem.

Podgórze. Dnia 27 listopada odbyło się tu pierwsze po zniesieniu stanu wyjątkowego poufne zebranie, na którem tow. Czaki złożył referat o potrzebie organizacyi zawodowej. Zebranie było bardzo liczne i świadczyło o tem, że stan wyjątkowy nie nastraszył wcale towarzyszy podgórskich.

Przemyśl. W sobotę 19 b. m. odbyło się w sali pomocników handlowych poufne zgromadzenie robotników żydowskich. O potrzebie organizacyi mówili tow. Rozenzweig, Lazar, Frey Adolf i Jan Żołnierz. Uchwalono jak najliczniej przystąpić do stow. Brüderlichkeit.

W piątek 18 b. m. odbył się odczyt w stowarzyszeniu pomocników handlowych na temat „Potrzeba organizacyi pomocników handlowych“. Po rzeczowych wywodach tow. Weiniga i Mantla uchwalono w zasadzie wniosek, zgadzający się na wysłanie delegata na kongres zawodowy pomocników handlowych do Wiednia

Przemyśl. Z powodu zakazu publicznego zgromadzenia przez starostę Lanikiewicza odbyło się w niedzielę 27 listopada wielkie poufne zebranie, na którem przemawiali towarzysze Żołnierz, Rychlicki, Reger i poseł Nowakowski. Mowcy przedstawili w wymownych słowach, jak wielka jest nędza ludu pracującego i że jedynym środkiem przeciw temu jest organizacya socyalistyczna. Podniesiono w końcu myśl energicznego popierania prasy socyalistycznej, poczem odśpiewano „Czerwony sztandar“.

Przemyśl. W sobotę 26 listopada odbyło się poufne zebranie robotników piekarskich, na którem tow. Reger i Łodziński przemawiali o potrzebie organizacyi.

---

niemal, ręką wyschłą po czole jego wodząc i włosy mu gładząc, aż chłopak dobrej myśli począł być i też się uśmiechnął.

— To mama mówi, że wesele? — spytał.

— A przecie, że nie co! Wesele, huczne wesele...

Zamyślił się chłopiec, a po chwili rzekł:

— To ja już wstanę, mamo...

— Wstań synku, wstań... Zgotuję śniadanie, jak przejesz, to cię to odejdzie.

Jakoż odeszło. Weselej nawet było tego ranka, niż zwykle w izdebce, bo chłopak czasu dość mając, jedną po drugiej piosenkę na prześcigi z kosem gwizdał, aż ptaszysko zachrypło i kiedy przyszło do Zosi, co jej się chciało jagódek, gwizdało tak żałośnie, jakby to przez nos śpiewał. Uśmiał się Marcyś, uśmiała się matka, i tak się w radości rozstali. Kiedy wyszedł, wdowa stanęła przy drzwiach i nasłuchiwała oddalających się kroków. Lekkie były, raźne, swobodne, zwyczajnie młode nogi... Nawet spaczone i spróchniałe schody nie skrzypiały dziś tak, jak zazwyczaj. Dopiero kiedy chłopak drzwi za sobą zatrzasnął, rzuciło się w niej serce jakimś nagłym strachem, tak łoskot ich był głuchy, podziemny i takiem przeraźliwem echem odbił się w pustych sieniach. Podbiegła do okienka, aby wyjrzeć za synem.

Szedł lekko, spiesznie, z podniesioną głową, a kiedy miał już przejść furtkę w fabrycznym murze, odwrócił się i spojrzał w górę. Może w okienko, a może tak sobie...

W chwilę później gęsty dym, czarny dym walił z fabrycznego komina.

Godziny upływały. W schludnie sprzątniętej izdebce zrobiło się cicho; stary zegar z jaskrawą różą na pożółkłej tarczy cykał opieszale na ścianie, kos próbował najweselszych kurantów, pociesznie walcząc z swym ochrypłym głosem, a wdowa moż z myślą o owym śnie syna, co to wesele znamionował, przeglądała swe odświętne odzieże.

Naraz rozległ się huk straszliwy. Zatrzęsły się ściany, posypał gruz z komina. Okienko z szczękiem wypadło. Wielki, iskrzasty słup dymu buchnał w niebo razem z fontanną cegieł i wielkimi odłamami rozwalonego komina, wypełniając izbę przeraźliwym blaskiem. Wdowa jak stała, tak skamieniała słupem. Ani jednego krzyku nie wydały jej zmartwiałe usta. Tylko się siwe włosy podniosły nad czołem, tylko rozszerzone źrenice zbielały jakby u trupa, nagłą jakąś zgrozą...

Może nawet nie słyszała dzikiego wrzasku, jaki bił z ulicy:

— Kotłowy!... kotłowy zabity!

. . . .

Długie jeszcze potem lata siadywała w tem samem okienku, patrząc osowiałym, mętnym wzrokiem na fabryczny komin, z którego biły w górę sine słupy dymu.

Dym ten wszakże nie przybierał już teraz dawnych rozlicznych kształtów, tylko zawsze zamieniał się w mglistą postać jej drogiego chłopca. Zrywała się wtedy ze stołka i wyciągała drżące, wyschłe ręce. Ale mglistą postać wiatr unosił i rozwiewał ją gdzieś w błękitach...

Marya Konopnicka.

We wtorek 29 listopada odbyło się poufne zebranie robotników dziennych we własnym lokalu, na którem tow. Żołnierz i inni przedstawili konieczność organizacyi zawodowej.

Lwów. Jak magistrat lwowski załatwia sprawy robotnicze, świadczy następujący wypadek. Kasa chorych murarzy doniosła w podaniu jeszcze 21 lipca b. r., że niejaki Senaczek, majster murarski nieubezpiecza w kasie swoich robotników. Podanie to ugrzęzło w magistracie i dopiero dnia 3 listopada, a więc po 5 miesiącach, przesłuchano majstra Senaczka, który oświadczył, że od dwóch lat żadnej budowy nie prowadzi, co najwyżej wykonuje tylko małe naprawki i przyjmuje robotników na 2—3 dni. Na podstawie tego zeznania otrzymała kasa chorych pismo, podpisane przez wiceprezydenta Romanowskiego, uwiadamiając o „rezultacie śledztwa“. Wiceprezydent Romanowski nie uznał za stosowne przesłuchać reprezentanta kasy chorych, nie raczył zaglądnąć do wykazu robót w biurze budowniczem, z którego wynika, że majster Senaczek wykonał w samym r. 1898 ośmnaście większych robót, że wreszcie wedle ustawy musi majster ubezpieczyć robotników, zatrudnionych nawet przez kilka dni.

Taka karygodna lekkomyślność i niedbałość, właściwa lwowskiemu magistratowi, jest praktykowaną specyalnie teraz — przed wyborami do Rady miejskiej, aby się nie narazić różnym klikom.

KRONIKA.

Z powodu zniesienia stanu wyjątkowego otrzymaliśmy w dalszym ciagu cały szereg telegramów i listów. Przytaczamy telegram „Siły“ wiedeńskiej: „Towarzysze, zebrani na wieczorku w „Sile“ zasyłają towarzyszom krakowskim z powodu zniesienia stanu wyjątkowego braterskie pozdrowienia, życząc, aby nadal z równą wytrwałością walczyli w imię haseł: wolność, równość, braterstwo, a zwycięstwo będzie Waszą przyszłością. Niech żyją towarzysze krakowscy, niech żyje socyalna demokracya!“

Robotnicy stanisławowscy urządzili d. 27 listopada uroczystość mickiewiczowską z okazyi odsłonięcia pomnika nieśmiertelnego wieszcza i rewolucyonisty w Stanisławowie. Podobnie jak w Krakowie nie chciał komitet oficyalny dopuścić przedstawicieli robotników do udziału w uroczystości. Klika magistracka nie dopuściła nawet do głosu akademika Wilczyńskiego, podejrzanego o socyalizm.

Wobec tego nietaktownego postępowania postanowili socyalistyczni robotnicy urządzić uroczystość na własną rękę. Uroczystość ta stała się też prawdziwem świętem ludowem. Na uroczyste zgromadzenie przybyło przeszło 6000 ludzi. Po zagajeniu zebrania przez tow. Kulmana i Seinfelda przemówili posłowie Daszyński i Kozakiewicz, którzy wyjaśnili, jakie znaczenie ma Mickiewicz dla polskiego ludu pracującego. Klasy rządzące, chcąc go uczcić, musiały go wpierw sfałszować, musiały go wprzód obedrzeć z wszystkiego, co było w nim wielkiem. Mickiewicz był wielkim rewolucyonistą, który wiedział, czego chce. Poglądy swoje złożył w płomiennych artykułach w „Trybunie Ludów“. Spadkobiercą ideałów Mickiewicza jest polski lud pracujący, zorganizowany w partyę socyalistyczną. Ludem do niedawna nikt się nie zajmował, chyba egzekutor podatkowy lub ksiądz i żandarm; ale partya socyalistyczna wprowadzi w życie testament Mickiewicza, chociaż klasy rządzące go sfałszowały. Klasy te odsądzają nas od patryotyzmu; prawa do tego nie mają ci, którzy złożyli swoje narodowe aspiracye na ołtarzu trójlojalności.

Mowy posłów przyjęto burzliwemi oklaskami, poczem popołudniu w przepełnionej ssli teatralnej odbył się odczyt tow. Kozakiewicza o Mickiewiczu. U stóp pomnika złożyły organizacye robotnicze szereg wieńców.

Imponująca uroczystość robotnicza dała sposobność prasie galicyjskiej do wściekłego napadu na wszystko, co na tym obchodzie mówiono. Szczególniej kokota z ulicy św. Jana konwulsyjnie woła, że przemówienie tow. Daszyńskiego było „profanacyą ideałów narodowych“, ponieważ Daszyński — według „Reformy“ — „sfałszował charakter największego polskiego poety i zrobił z niego agitatora i rewolucyonistę“. Trudno chyba o większą dozę głupoty, czy perfidyi. Tym panom zdawało się dotychczas ciągle, że oni jedynie i wyłącznie mają przywilej do używania imienia wielkiego poety do własnych egoistycznych celów. Gdy zatem socyalno-demokratyczna partya, odtrącona zresztą przez samozwańcze komitety od oficyalnej uroczystości, wdarła się w ich błogi „stan posiadania“, wtedy woła w wstępnym artykule chory „pesymista“ niedzielny z „N. Reformy“, ułatwiający nieszczęśliwym abonentom swoim dowcipem poobiednią drzemkę — „nie zabierajcie go nam, bo on nasz“. Tymczasem Mickiewicz nietylko dzisiaj, ale i wówczas ze wstrętem odwracał się od „zatłuszczonych serc“, bo żył przy ludzie i dla niego pisał, a że tak jest, wiecie najlepiej wy sami, boście długi czas charakter poety, jako agitatora i rewolucyonisty, świadomie zatajali i fałszowali — i dziś chwytacie się tej samej metody, na szczęście bezskutecznie, bo czas dla was już dawno przeminął.

Celem uczczenia ks. Ściegiennego odbył się we Lwowie 27 listopada uroczysty poranek. Tow. Hankiewicz wygłosił piękny odczyt, poczem nastąpiły produkcye chóru robotniczego, oraz deklamacye znakomitego artysty p. Wysockiego. Śpiewem „Czerwonego Sztandaru“ zakończono podniosłą uroczystość.

Stan wyjątkowy? Jeszcze nie przebrzmiały echa debaty parlamentarnej, a już starosta Lanikiewicz zaczyna pokazywać znowu swoje sztuczki. Robotnicy przemyscy zwołali na niedzielę 27 listopada zgromadzenie ludowe pod gołem niebem. Zgromadzenie to zakazał Lanikiewicz, opierając się na §§ 3 i 6 ustawy o zgrom., podając w motywach, że na poprzedniem zgromadzeniu Witold Reger wygłosił mowę „podburzającą“, a Seńko Wityk oświadczył, że im jeszcze „nasobaczymy“, zachodzi więc obawa, że zgromadzenie ma na celu podburzać słuchaczy. Motywy te nie wytrzytrzymują oczywiście żadnej krytyki prawnej. Do miarkowania „podburzających“ mów jest przecież obecnym reprezentant władzy. Na podstawie zaś samych „przypuszczeń“ zakazywać zgromadzeń potrafi chyba Lanikiewicz. Zgromadzenie poprzednie, które komisarz rozwiązał, było zupełnie spokojnem, a zaburzeń wcale nie było. Lanikiewicz sądzi widocznie, że stan wyjątkowy istnieje jeszcze w Przemyślu. Zdanie to jest o tyle słusznem, że wogóle jest wyjątkowem, możliwem tylko w Galicyi, by tacy ludzie, jak Lanikiewicz piastowali urzędy publiczne.

Pobyt Brandesa w Galicyi dał naszym „miarodajnym czynnikom“ sposobność wytoczenia przed duńskim gościem wszystkich swoich dodatnich stron: czystych kołnierzyków i wystawnych bankietów. Wstecznicy: jak Badeni, Dzieduszycki i inni, ludzie, którzy gnębią w brutalny sposób wszelkie objawy ruchu ludowego, starali się okazać przed Brandesem z najlepszej swej strony. Panowie ci mają spory zapas postępu — „na export“ dla obcych. W życiu codziennem chowają „postęp“ i europejskie formy na lepsze czasy i stają się tem, czem byli i są: ograniczonymi i bezwstydnymi wyzyskiwaczami. Przez cały czas pobytu wzięli Brandesa „w arendę“, a paru odkomenderowanych wyżłów dziennikarskich pilnowało go dniem i nocą, by nie dostał się w „nieodpowiednie“ towarzystwo...

Mimo to udało się „Zjednoczeniu“, stowarzyszeniu kształcącej się młodzieży, zaprosić Brandesa na niedzielę 27 listopada. W swobodnej dyskusyi przedstawili mu przedstawiciele postępowej młodzieży, jak błędne ma pojęcie o stosunkach polskich. Brandes bronił się, że je mało zna, że przez konserwatyzm rozumie podtrzymywanie tych czynników, które ułatwią urzeczywistnienie ideału niepodległej Polski, jak n. p. religię rzymsko-katolicką, a usuwanie tego, co rozdziela. Gdy mu opowiedziano, że szlachcice polscy nietylko uciskają cały lud pod względem politycznym, lecz i krępują swobodę kultury, że pogodzili się z carem i zrezygnowali z niepodległości Polski, oświadczył Brandes, że widział ich tylko w białej krawatce i przy kieliszku, co jest w ich sercu — nie wie. Zarzut zaś, że w dziele swojem „Polska“ wspomniał, iż socyaliści żądają upaństwowienia produkcyi, podczas gdy w rzeczywistości domagają się uspołecznienia tejże, pozostawił bez odpowiedzi. Brandes przyznał, że socyalizm ma przed sobą przyszłość, chociaż nie jest ostatnim wyrazem dążeń ludzkości; nie jest wprawdzie socyalnym demokratą, jednakże sam często przemawia w Danii na zgromadzeniach robotniczych i chłopskich. Jest indywidualistą, bo w większym tłumie jednostka nie może się rozwinąć. Przyrzekł w końcu gruntowniej zbadać stosunki w Polsce, być może wręcz — rzekł — zmieni swoje zdanie, na razie — dodał — niechaj nas łączy wspólny zapał do wolności i swobody. Między wierszami jego odpowiedzi słyszeć można było, że zgadza się z poglądami młodzieży postępowej, lecz tego jawnie przyznać mu nie wypada.

Po zajściu w „Zjednoczeniu“ wyekspedyowano Brandesa szybko z Galicyi, aby nie mógł się dowiedzieć o wielu „innych“ rzeczach, niemiłych szlachcie.

Przypuszczamy, że p. Brandes, wytrzeźwiwszy się po bankietach, spostrzeże, że pokazywano mu — domki Potemkina.

P. Józef Maskoff drukuje w „Słowie Polskiem“ większych rozmiarów powieść p. t. „Zaszumi las“. Ma to być przedstawienie Polonii socyalistycznej w kraju na emigracyi. Autor zdradza jednak niezwykłą nieznajomość faktycznych stosunków. Opis agitacyi socyalistycznej w Królestwie Polskiem jest wprost nieudolną karykaturą. Rewolucyoniści, w oświetleniu p. Maskoffa, wyglądałą jak idyoci, popełniający na każdym kroku cały szereg nonsensów. W lepszych zaś chwilach kwilą tak czule, kroczą w tak wysokich koturnach, że doprawdy — gdyby tak było w rzeczywistości — pierwsi nazwalibyśmy ich patetycznemi maryonetkami, a nie poważnymi działaczami. Na szczęście tak nie jest; p. Maskoff zna, zdaje się, ruch socyalistyczny tylko z przekręconych opisów...

Albo ci „działacze“ na emigracyi, ta naiwna „banda“ Grzegorzewskiego!

Przyznajemy, że czytając te wyduszone elukubracye, dostać można spazmatycznego śmiechu.

Głupie szykany. Tow. Żołnierzowi w Przemyślu wymierzono podatek osobisto-dochodowy od kwoty 800 złr., które rzekomo ma rocznie pobierać od — partyi socyalno-demokratycznej. Na zapytanie, co słychać z jego rekursem, wniesionym od tego naiwnego zarządzenia, odpowiedział mu urzędnik podatkowy, że „rekurs leży w pace“.

Wiadomości literackie i artystyczne.

= **„Dobro publiczne“.** — Fraszki. Napisał Zygmunt Niedźwiecki. Nakładem redakcyi czasopisma „Naprzód“ — 1898. Niewielki ten zbiorek krótkich szkiców uwydatnia w całej pełni wszystkie zalety utalentowanego autora. Bystra obserwacya w połączeniu z ciętym, satyrycznym dowcipem stwarza tu obrazki, w których, jakby w źwierciedle, przegląda się cała dzisiejsza społeczność, jej etyka i moralność. Niedźwiecki nie wychodzi nigdy z roli bezstronnego obserwatora, jego szkice to tylko portrety, tylko wierne fotografie z natury, ale ten realizm, ta głębokość w odtwarzaniu przeróżnych stron życia społecznego — to właśnie największa ich zaleta. Autor nie moralizuje, nie filozofuje — trzyma tylko niejako snop promieni świetlnych, potężnych w swem ręku i coraz to w inną skierowuje stronę; nie jego wina, że, czy oświetli księdza w prywatnem życiu, czy twórców „opinii publicznej“ i jej służebnicę-prasę, czy rzuci światło w głąb duszy „wielkich“ filantropów, że wszędzie rzuca się nam w oczy zgnilizna, że wszystko to takie wstrętne, takie brudne, lecz takie wierne, takie, niestety, prawdziwe! „Fraszki“ p. Niedźwieckiego, — to treścią swą bardzo poważne szkice — i trzeba mieć istotnie wielki talent i dużo odwagi, żeby w dzisiejszych czasach dotykać najczulszych stron społeczeństwa.

W końcu podnieść należy, że wydanie tego zbiorku pod względem zewnętrznym zastosowane jest w zupełności do jego wewnętrznej wartości.

= **Tkacze śląscy** zaliczają się dzisiaj do największych nędzarzy na świecie. Ich wiekową pracę wyzyskano na zapełnienie skarbów państwowych a ich samych strącono aż na dno niedoli ludzkiej, gdzie brak jest środków na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb życiowych. Rodzina tkacza, złożona z kilku osób, zarabia przeciętnie około 2 złr. tygodniowo.

Tragedyę ich doli ujął najznakomitszy z współczesnych dramaturgów, Gerhard Hauptmann, w ramy przerażającego prawdą życiową obrazu.

W Peterswaldau, gdzie 22 młyny dniem i nocą pracują, giną z głodu setki rodzin tkaczów, zdanych na łaskę i niełaskę fabrykanta, który mając zapełnione „cztery żołądki, jak krowa“, wyzyskuje biedaków, którzy z plonem tygodniowej pracy całej rodziny przychodzą po marny zarobek, na który czekają w „tak straszliwem naprężeniu, jak przed kratkami sądu, mającego wyrokować o ich życiu lub śmierci“. Nic dziwnego. W domu bieda, deszcz pada do izby, a tu „na dziesięcioro dzieci dwie koszule“. Ale fabrykant zły, a po jego stronie duchowieństwo i policya, więc nędzarz musi się zgodzić na każdy ochłap, jaki mu padnie wśród upokorzeń i drwin, niemal jako jałmużna.

Wreszcie przebrała się miarka. „Lepszy kryminał, gdzie — przynajmniej codzień jeść można“, niż taki byt. I poszły tłumy przeciw ciemięzcom z pieśnią na ustach; uświadomieni robotnicy, gdy w łącznej sile, w organizacyi, ujrzeli zaranie lepszego bytu, jedyny sposób zwycięskiej walki.

Taką jest treść tej sztuki, która obecnie wyszła w polskiem tłómaczeniu, dokonanem przez tow. Wiktora Tuszę, nakładem polskiej partyi socyalistycznej i dlatego powinna się znaleść w rękach każdego robotnika.

= **„Młodość“**, miesięcznik naukowo-społeczny, lit.-art., czasopismo poświęcone sprawom młodzieży akademickiej, zacznie wychodzić wkrótce w Krakowie. Wydawcy zapowiadają w prospekcie, że zamierzają zrobić z pisma tego „organ dyskusyjny, w którym młodzież wszystkich bez wyjątku odcieni i przekonań będzie mogła zabierać głos“. „My, młodzi Polacy, zalegliśmy już dużo pola i powinniśmy pamiętać, że kto chce stać na miejscu z założonemi rękoma, zostanie zepchnięty.“ „Nie potrzeba nam pośredników, którzyby wykrzywiali nasze pojęcia.“

Kto zna apatyę, karyerowiczowstwo, brak ideałów przeważnej części naszej młodzieży akademickiej, ten chyba przyklaśnie zamiarowi wydawców. Program „Młodości“ jest dość mglisty i niejasny; gdyby jednak udało się nowemu wydawnictwu skupić około siebie inteligentniejsze żywioły wśród młodzieży i natchnąć je chęcią do pracy społecznej, byłoby już to samo wielką zasługą. — „Młoda Polska“ ma już wszelkie cechy — starości; zobaczymy, co powie „Polska najmłodsza“..

KOMUNIKATY.

Kraków.

Komisya zawodowa odbędzie następne pełne posiedzenie w środę 7 grudnia o godzinie 7 wiecz. Posiedzenia sekretaryatu odbywać się będą stale co wtorku.

Wykłady popularne urządza codziennie, począwszy od 5 grudnia w dawnem gimnazyum Św. Anny Tow. szkoły ludowej. Program obejmie 3 grupy: I. grupa historyczno-literacka zawierać będzie wykłady z historyi, geografii i literatury polskiej, oraz kultury starożytnych Greków i Rzymian. II. grupa, przyrodnicza: wykłady z fizyki o elektryczności oraz ruchu i energii, wykłady z zoologii oraz hygieny. III. grupa, nauki społeczne: o ustroju państwowym demokracyi szwajcarskiej, o życiu politycznem Stanów Zjednoczonych, o ludowych stowarzyszeniach ekonomicznych i t. d.

Początek o godzinie 7 wieczór.

Stow. Siła urządza w niedzielę 4 grudnia przedstawienie amatorskie.

Bielsko-Biała.

Związek okręgowy stowarzyszeń robotniczych ogłasza, że począwszy od 1 grudnia 1898 wszystkie stowarzyszenia przeniosły się do prywatnego lokalu na Bleichu l. 2 a mianowicie: stow. tkaczy, stow. rob. w drzewie, stow. metalurgiczne, stow. krawców, piekarzy, drukarzy, litografów, kobiet pracujących i stow. śpiewackie „Frohsinn“. Stowarzyszenia mają wspólną czytelnię (52 gazet), bibliotekę, złożoną z 1000 tomów.

Lwów.

Wykłady popularne z przedstawieniem obrazów świetlnych odbywają się regularnie w wielkiej sali Domu robotniczego (pasaż Hausmana 8) co Niedzieli od godz. 4—5 i 5—6 popołudniu. Serya pierwsza obejmuje astronomię (4 wykłady), geologię (4 wykłady), o powstaniu i rozwoju życia na ziemi (3 wykłady), „Stanowisko człowieka w przyrodzie“ (2 wykłady). O budowie człowieka i hygienie ciała (6 wykładów). — Następne serye obejmą geografię, ekonomię, historyę i literaturę polską. W niedzielę 4 grudnia odbędą się: 1. Wykład o powstaniu ciał niebieskich. 2. O budowie szkieletu człowieka. Obydwa z przedstawieniem obrazów świetlnych.

Przemyśl.

Adresy stow. robotniczych znajdują się przy ulicy Dworskiego l. 14.

Rachunki komitetu partyjnego za miesiąc listopad: Przychód: 35·17 złr. Rozchód: 20·69 złr. Nadwyżka 14·48 złr. W. Reger kasyer, za komisyę kontrolującą: Jan Żołnierz, Józef Mantel.

Już wyszedł i jest do nabycia w Red. „Naprzodu“.

Kalendarzyk robotniczy na rok **1899.**
Pamiątka stanu wyjątkowego w Galicyi.
Cena egzem. 20 ct., z przesyłką 22 ct — Przy większym odbiorze stosowny opust.

Za kilka dni wyjdzie broszura pod tytułem:
Stan wyjątkowy przed sądem Parlamentu
Mowy Tow. Daszyńskiego.
Broszura ta, złożona z 5 ark. druku, kosztować będzie 12 ct., z przesyłką pocztową 15 ct.
Broszura ta powinna znaleść się w ręku każdego robotnika!

W połowie grudnia wyjdzie z druku broszura
Ignacego Daszyńskiego
p. t.
Szlachetczyzna a reformy.
Zamawiać można w Red. „Naprzodu“.

Towarzysze!
Mam zaszczyt uwiadomić Towarzyszy, że mój **zakład fryzyerski** znajduje się jak dawniej przy ul. Wolskiej.
Polecając się względom Towarzyszy, kreślę się z socyalno-demokratycznem pozdrowieniem *Józef Kupfer.*
1—3.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Jan Serkowski. Z Drukarni Narodowej F. K. Pobudkiewicz w Krakowie.